ROK DRUGI.

—

№ 51.

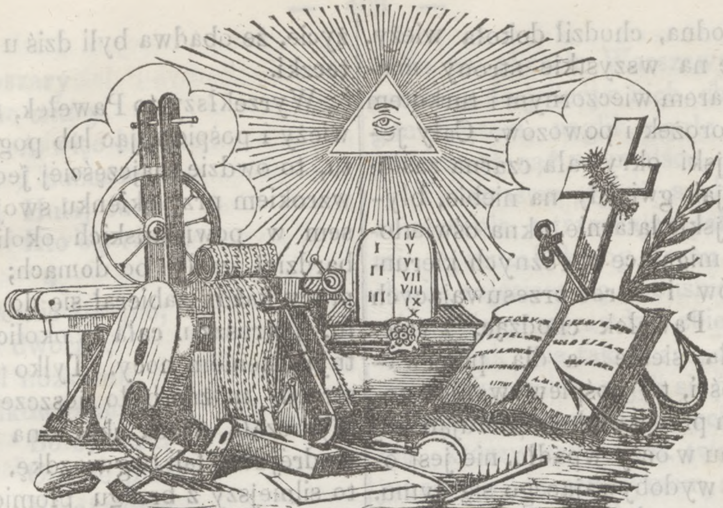
Warszawa.

Dnia 8 (20) grudnia.

1857.

Niedziela

4. ADWENTU.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr, 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Co za cudowna dobroć i litość, że Ty Boże nasz, ożywicielu wszystkich duchów, do ubogiéj duszy człowieka z całem Bostwem i człowieczeństwem zstępować raczysz. Najświętszy Ciała i krwi Twojej Sakrament jest zbawieniem duszy i ciała, lekarstwem wszelkiej niemocy; przezeń leczą się przywary, zwyciężają pokusy, większa się wlewa łaska, utwierdza się wiara, krzepi nadzieja, a miłość rozszerza się i goreje. (O naśl. Chr. K. 4 R. 3, 4).

Boże Narodzenie.

—

Jak wszechmocny Bóg nasz jest,
Gdy z słów Jego *stań się!*— stało;
Zlał się na nas święty chrzest,
Bóg Syn ludzkie przyjął ciało.

Dwa tysiące blisko lat
Jak się Chrystus Pan objawił,
I z ciemnoty dźwignął świat,
Z grzechów całą ludzkość zbawił.

Ileż męki musiał znieść,
Aby wskazać, jak żyć trzeba,
Aby z błędów ludzkość wznieść,
I przybliżyć ją do Nieba.

I potęgą szczytnych słów
W bratnią miłość nas połączył,
Wskazał piękny życia nów,
I na krzyżu śmiercią skończył.

Więc kto wpośród losu chmur
Zbawcy świata się ukorzy,
Z Jego życia czerpnie wzór,
Temu niebo Bóg otworzy.

Komu bliźni jest jak brat,
Kto w nieszczęściu go ratuje,
Ten rozkrzewia wiary kwiat,
I naukę jéj pojmuje.

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

VII.

(Dokończenie, patrz nr. Cz. 50).

—

Héj! strażaku,
Czujny ptaku!
Ty jak sokół,
Patrzysz wokół.

W kilka dni po owéj skromnej lecz wesołéj zabawie u pani Jadwigi, matki naszego zucha strażaka, któréśmy w poprzednim numerze Czytelni opowiedzieli, Pawełek odbywał wartę na wieży w Ratuszu, dającéj widok na całą prawie Warszawę. Na zegarze już dziewiąta dawno przebrzmiała—Pawełek otulony płaszczem, bo

noc była dosyć chłodna, chodził dokoła wieży, pilne dając baczenie na wszystkie strony miasta, szumiącego gwarem wieczornym i turkotem przejeżdżających dorożek i powozów. Cały jednak ten gwar miejski okrywała czarna zasłona nocy, na której jak gwiazdy na niebie, błyszczały płonące miejskie latarnie, okna oświetlonych pomieszkań, i migające w różnych kierunkach światła koczów i karet przesuwających się z ulicy na ulicę. Pawełek chodząc, z zajęciem patrzył dokoła siebie, a dla przerwania nudów samotności, to pośpiewywał, to pogwizdywał, a czasem przystanął, wpatrując się bacznie, czy to, co mu w oczy wpadło, nie jest ogniem, lub kłębami wydobywającego się dymu. Najczęściej jednak zwracał uwagę na ulice powiślańskie, a mianowicie na punkt, w którym mieszkała kochana przez niego tyle matka. A znał go tak dobrze, że odrazu trafiał oczyma w okienko, przy którém zwykle zasiadając z Zosią i panią Michałową, poczciwa kobiéta wspólną pracę uprzyjemniała rozmową i opowiadaniem różnych wypadków, za jéj młodszych lat zdarzonych. Pawełek znał ten zwyczaj oddawna wprowadzony u matki, dlatego gdy się w takiéj , jak dziś znajdował porze na warcie, to zdało mu się, że jest między swą rodziną, że gwarzy z nią razem, śmieje się, żartuje i że wszystko widzi, co się tam dzieje.

— O, mówił sam do siebie Pawełek, wyciągając rękę; okienko świeci, bo matczysko siedzi przy niém po jednéj stronie stołu, po drugiéj pani Michałowa, a wprost okna Zosieczka, którą zdaje mi się nawet widzę, jak schylona nad robotą, czasem rzuci oczętami na siedzącego niedaleko poczciwego Józefa. Ciekawym téż, czy przyszedł dziś do matki?

I Pawełek wpatrzył się uważnie w świecący punkcik światła, tak mu znany dobrze, a po chwili odezwał się radośnie:

—Założyłbym się, że jest, bo okno nie jasno świeci; rozmawiając, zapominają świecy objaśniać—oh! że téż to mnie niema między niemi!

I westchnąwszy poczciwy chłopak, otulił się płaszczem i obszedł parę razy wkoło wieżę.

— Pan Jan, odezwał się znowu Pawełek, zatrzymując się w tem samem miejscu, zdaje mi się także, że przyszedł pomruczeć troszkę do pani Michałowej. O! teraz świecę przenieśli na komodę... a teraz idą z nią do sieni... to Zosia świeci gościom i żegna ich—o! założyłbym się o życie, że obadwa byli dziś u mojéj kochanej mateczki.

Wyrzekłszy to Pawełek, ruszył znowu wkoło wieży i pośpiewując lub pogwizdując, patrzał to tu, to owdzie, najczęściéj jednak zatrzymując się wzrokiem przy okienku swojéj matki. Tymczasem w powiślańskich okolicach światła coraz bardziéj gasły po domach; widocznie po dniu pracy każdy zabierał się do spoczynku, i pomału, potroszku, cała ta okolica okryła się smutnym cieniem nocy. Tylko gdzieniegdzie spostrzedz można było jeszcze światełko, i zdala błyszczała nasza ukochana Wisła, odbijając w modréj swéj fali to gwiazdkę, co nad nią migotała, to silniejszy z brzegu płomień.

U pani Jadwigi jeszcze nie spano, ale widać krzątano się około spoczynku i pościeli, bo światło to gasło w oknie, to się znowu zjawiało, jak w miejscu, gdzie się wielu ludzi przechadza, i zasłania palącą się świecę. Pawełek choć pośpiewywał i pogwizdywał naprzemian, uważał jednak na to pilnie, a gdy po małéj chwili nagle światło zgasło, przerwał śpiewanie, i westchnąwszy, rzekł z czułością:

— Śpij moja szanowna matko, śpij moja kochana Zosieczko, niechże Bóg czuwa nad wami, i strzeże was podczas snu od wszelkiego złego— a teraz daléj w marsz strażaku! I pogwizdując przytłumionym głosem, zaczął śpiewać:

1.

Héj! strażaku!
Czujny ptaku,
Ty jak sokół
Patrzysz wokół,
I oczami
Jak skrzydłami,
Hulaj, hulaj
Nad dachami.

2.

Choć na straży
Jak się zdarzy:
Wietrzno, chłodno,
Czasem głodno,
Straż nie pyta,
Milcz i kwita!
A z oczami
Nad dachami.

3.

Obluz warty
To nie żarty,

I koszary
Pełne *wiary*.
A więc huczno
I buńczuczno,
Hulaj dusza,
Kto się rusza!

4.

Choć nie strojno,
Ani dworno,
Pęc! nóżkami,
Podkówkami;
Bo strażaki
Czujne ptaki,
Hulaj dusza,
Kto się rusza!

Jeszcze Pawełek chciał daléj śpiewać, ale nagle zatrzymał się i pilnie wpatrzył w stronę, gdzie matka mieszkała. Na czarném bowiem tle nocy, zdało mu się, że jakieś pokazało się niezwyczajne światło. Zadrżał więc poczciwy chłopak, bo z ogniem to niema żartów, zwłaszcza między drewnianém zabudowaniem, co pali się jak siarka. Niespokojność ta w kilka sekund wyjaśnioną została, bo płomień nagle wybiegł jak kula ponad jednym z domów Powiśla i w oczach rosnąc, prawie w jednéj chwili rozszerzył się po całym dachu, rzucając daleko od siebie przerażającą łunę. W téj samej prawie chwili, dzwonek targnięty silną ręką Pawełka brzęknął w stajni; za nim jednocześnie ozwał się większy, i na wieży u samego jéj szczytu błysnęła zapalona latarnia. Na dole w koszarach ruch niezwykły przerwał panującą już ciszę; rój strażaków wysypał się ze stajni, prowadząc konie do beczek i sikawek, a Pawełek w niemej rozpaczy przechylony na barjerze, wpatrywał się w płomień coraz bardziej się rozszerzający. Znając bowiem dobrze miejscowość, poznał, że ogień żajął się niedaleko od pomieszkania matki, a rozważając kierunek jego rozszerzania się, uważał, iż się zbliża ku miejscu, w którém o niczem nie wiedząc, zasypiają spokojnie dwie tak serdecznie ukochane przez niego osoby.

— Moja matka i siostra w niebezpieczeństwie! załamując ręce, odezwał się Pawełek do podoficera, który wbiegł na wieżę dla rozpoznania punktu pożaru—na miłość Boską, niech mnie kto zastąpi, bo ja jako syn, muszę biedz ratować szczupłe mienie mojéj matki kochanéj.

Niedługo biegnąca straż z sikawkami zadudniła na ulicach Warszawy, a Pawełek przyczepiony do jednéj z nich, choć konie biegły tęgim kłusem, naglił ciągle o pośpiech, radby ptakiem stanąć na miejscu.

Tymczasem ogień szybko szerzył swoje zniszczenie, a trzaskając palącemi się krokwiami, wyrzucał kłęby dymu i iskier, grożąc co chwila zajęciem się pobliskich budynków. Bliżéj mieszkający wprawdzie zbiegli się natychmiast, ale jednak nie tak wczas, żeby mogli myśleć o ugaszeniu ognia—zajęli się przedewszystkiem ratunkiem ludzi zamieszkałych w palącym się domu, którzy czy to tak twardo zasnęli, czy też już zostali uduszeni dymem, najmniejszego nie dawali znaku, że wiedzą o grożącém im niebezpieczeństwie. Że zaś drzwi od sieni były szczelnie zamknięte, wybito więc okna i niemi powyciągano uśpionych, wyrzucając różne domowe sprzęty, pościel, kufry i inne tym podobne rzeczy. Kiedy pożarne komendy nadbiegły, pobliski budynek już się zaczął palić; ale w téj chwili polały się strumienie wody: ogień zasyczał, buchnął kłębem dymu, lecz przygasł. Wszystkie więc sikawki skierowane zostały w miejsce głównego pożaru, a że nie można było myśleć o uratowaniu domu, postanowiono więc rozebrać go, i gdy jedna część straży zajęła się wynoszeniem rzeczy pogorzelców, druga wdrapała się na dach, i stojąc wpośród dymu i płomieni, zlewana wodą, bo i ta im się często dostała, rąbała toporami co tylko sił starczyło, zrzucając odjęte sztuki na ziemię. Obawy więc rozszerzenia się ognia nie było, a choć ten ruch ludzi, koni, wozów, sikawek, wpośród zgiełku, wrzawy, trzaskania ognia i łuny ciemną noc rozświetlającéj, okropny przedstawiał widok, jednak przy strachu w patrzących obudzał spokojność i tę pewność, że niebezpieczeństwo rozszerzenia się ognia już minęło, i że pod tym względem obawy żadnéj miéć nie należy.

Pawełek zawsze zuch i dziarski chłopak, przekonawszy się, że matce i siostrze z ognia tego żadna szkoda stać się nie może, jeszcze z zuchwalszą miną wypełniał obowiązki do swojéj służby przywiązane.

— Moje dziecko! moja Maryniu, ludzie ratujcie! ktoś z boku zawołał, ratujcie! Pawełek spojrzał i struchlał. Przed samym bowiem ogniem stała kobieta w jednéj tylko koszuli, okryta dużą wełnianą chustką, boso, z rozrzuconemi włosami na głowie, i wyciągając ręce ku ogniowi,

wydzierała się wpośród wstrzymujących ją, jakby chciała wejść do palącego się budynku.

Moje dziecko się pali, wołała, szamocząc się z ludźmi—puśćcie mnie, puśćcie... moje dziecko, moje dziecko jedyne!

— Co to jest? zapytał się nadbiegając Pawełek.

— Tam w komórce, śpi moja Marynia i spali się, spali. O! Boże, ratuj, ratuj!

Głos wołającéj tak był przenikający, w całéj postawie taka przebijała się rozpacz, takie cierpienie matki, iż aż sięserce krajało, tém bardziej, że możności ratunku palącego się dziecka żadnéj prawie nie było. Budynek bowiem już prawie cały stał w płomieniach, a choć z wierzchu lała się woda i siekiery tylko warczały, dym jednak wydobywał się wszystkiemi szczelinami, a oknami i sienią buchał ogromnemi kłębami. Tymczasem biedna matka trzymana silnie przez otaczające ją osoby, prosiła ciągle, żeby ją puszczono, i w dzikiej rozpaczy odzywając się nieludzkim prawie głosem, złorzeczyła i sobie i ludziom, że żadnéj nad nią nie mają litości. Pawełek widząc i słysząc to wszystko, niedługo się namyślał i przystąpiwszy do kobiety, zapytał:

— A po któréj stronie domu córka pani została i gdzie?

— Po prawej, na przypiecku, jęcząc, odrzekła kobieta.

— Uspokój się pani, dziecko wyratuję, albo sam zginę, odrzekł Pawełek, okrywając się płachchtą i szykując się do wejścia w palący się budynek.

— Pawełku! mój synu, chwytając go za rękę wtej chwili, odezwała się pani Jadwiga — nie chodź, nie chodź!

— Bracie, mój bracie kochany, dołożyła Zosia, przyklękując przy nim samym, zginiesz, zginiesz.....

— Moje dziecko! krzyknęła prawie jednocześnie rozpaczająca kobieta i rzuciwszy się silnie naprzód, padła na ziemię omdlała. Byłto widok tak poruszający, że Pawełek mając przy sobie matkę i siostrę, a patrząc na rozpacz drugiej matki, z winném poruszeniem wymknął się z rąk trzymających go kobiet, w dwóch susach stanął tuż przy ogniu i okrywając się płachtą, wzniósłszy oczy ku niebu, wpadł śmiało do budynku. Gruby, nieprzejrzysty kłęb dymu zasłonił przed patrzącymi dzielnego młodziana; cieniutkie płomyki, jak ogniste węże mignęły z drzwi i okien, co zobaczywszy matka Pawełka, załamała ręce i krzyknąwszy:

— O! ja nieszczęśliwa! padła w objęcia płaczącéj Zosi.

Wszyscy w milczeniu z niemym przestrachem wlepili oczy we drzwi, przez które weszła przed chwilą ofiara poświęcenia, a może i ofiara śmierci. Sikawki skierowały się w sam środek budynku, polały się nowe strumienie wody—pokazał się dym coraz gęstszy, coraz czarniejszy—cały budynek się zatrząsł, zatrzeszczał, i co sekunda groził zawaleniem sufitu. Strażaki więc poczęli zsuwać się i zeskakiwać, i kiedy każdy tracił nadzieję już nietylko ocalenia dziecka, ale nawet samego Pawełka, ten pokazał się w sieni z siedmioletnią dzieciną, i zaledwie wyszedł, odetchnął świeżem powietrzem, padł na ziemię, a w budynku z szumem i trzaskiem zapadł się sufit, kurzem i dymem obrzucając wszystkich bliżej stojących.

—

W lat kilkanaście po opowiedzianych wypadkach, które odbyły się zaraz po zaprowadzeniu straży ogniowéj w Warszawie, przy ulicy Chłodnéj w sklepiku z różnemi wiktuałami, na stołku wyplatanym trzciną siedziała już niemłoda kobieta, zajęta robieniem pończochy. Na stole zarzuconym różnemi rupieciami handlowemi, paliła się lampa, oświetlając całe wnętrze sklepiku; ściany jego i wszystkie kąty zarzucone były workami z mąką, kaszą, z ziemniakami, i drzewem w wiązkach, cebulą, miotłami, makówkami, i innemi tym podobnemi rzeczami, które otaczały sklepową szafę, pełną szufladek i przegródek z różnemi znów drobiazgami korzennemi i domowemi. Ponieważ to była jeszcze ciepła jesienna pora, drzwi więc na ulicę były otwarte, a siedząca kobieta przyzwyczajona widać do wczesnego spoczynku, naprzemian to poruszała drutami pończochy, to czasem zdrzemnęła się tak silnie, że parę razy o mało nie zleciała na ziemię. W tem bocznemi drzwiami do połowy zaopatrzonemi w szyby szklane jak u okna, wszedł do sklepiku blisko czterdziestoletni mężczyzna, i zatrzymując się w dziarskiéj, zuchowatéj postawie, odezwał się:

— Cóż to mateczkę sen morzy? to ja zastąpię mateczkę.

—Ej nie, odrzekła kobieta, zabierając się na

nowo do przerwanéj snem roboty; tak tylko myślę sobie o różnych naszych kłopotach.

— O kłopotach? powtórzył z zadziwieniem mężczyzna; co tam głowę zaprzątać sobie podobnemi bzdurstwami—u mnie zawsze ostro, po strażacku.

I rzekłszy to, przytupnął nogami, ujął się wpół rękoma, i zaczął spiewać:

Choć nie strojno,
Ani dworno,
Pęc! nóżkami,
Podkówkami!
Bo strażaki
Czujne ptaki;
Hulaj dusza,
Kto się rusza!

—Oj ty figlarzu, figlarzu, odezwała się z czułą serdecznością staruszka, zawsześ jeden; zestarzał się, a równie żywy jak iskra.

Zburczany syn znowu dał hołupca i chciał śpiewać drugą zwrotkę, gdy z ulicy wszedł jakiś wyrobnik z siekierą na ramieniu, strasznie licho i obdarto ubrany, i rzekł:

—Dobry wieczór państwu—przepraszam, że wchodzę nie po interesie, ale usłyszałem piosnkę, którąśmy niegdyś, już temu dawno śpiewywali w koszarach straży ogniowéj, więc chcę się dowiedzieć, kto to taki wyśpiewuje?

— To ja, mój poczciwy człowieku.

Nieznajomy spojrzał, oczy mu zaszły łzami, i wyciągając ręce, odezwał się drżącym głosem:

— Tak, nie mylę się... tyś Pawełek, któregośmy tak wszyscy kochali, a ja Mateusz, dawny twój kolega.

— Mateusz! krzyknął Pawełek, i rzucił się w objęcia swego starego towarzysza.

— Cóż porabiasz? zapytał po chwili Pawełek, cóż się z tobą teraz dzieje?

— Jak widzisz mój bracie, biéda, chłodno i głodno, odrzekł Mateusz; ale po części tom sam sobie winien. W rzemiośle bowiem nic mi się nie chciało uczyć, i przechodząc od jednego do drugiego, przyszło wreszcie do tego, że kiedy rozpocząłem służbę w straży, żadnego się rzemiosła nie nauczyłem. W straży znowu nic mi się nie chciało; pięć i sześć razy do roku szedłem do lazaretu, z kolegami wiecznie kłóciłem się, zwalając na nich robotę, co sam powinienem był dokonać; a jak przyszedł ogień, to tak wszystko psułem i niszczyłem przy ratunku, że pewno tyle robiłem szkody, co sam ogień. Znano mnie téż z tego doskonale i naturalnie nie kochano, tak, że gdy jednego razu przeziębiłem się przy pożarze, dowódzca korzystał z tego i prze dstawił do uwolnienia ze służby. Próżniak już od młodości, rozpróżniaczyłem się do reszty, i dziś wałęsam się z siekierą, szukając zarobku, przeklinając i świat i siebie, że zamłodu nie miałem rozumu, i że niczego się nie nauczywszy, dziś samemu sobie jestem ciężarem. Gdzie się bowiem obrócę, ludzie znajomi mówią: dobrze mu tak, sam sobie winien; hultaj i nicpoń był całe życie, niech że wie, co to bieda znaczy. Ale dajmy pokój temu, żal to po niewczasie— a przechodząc ulicą, jak usłyszałem tę piosnkę, którąśmy niegdyś śpiewywali, tak mi młode lata stanęły w głowie, że nie mogę się przezwyciężyć; wszedłem cały rozrzewniony i nawskróś przejęty żalem i wspomnieniem przeszłości. A z tobą Pawełku co się dzieje? słyszałem tylko, żeś miał w ogniu jakiś wypadek, a nawet uduszony dymem zostałeś.

— Tak jest mój bracie, odrzekł Pawełek, ratując małą dziewczynkę, już nawpół prawie żywy wyszedłem z nią z ognia. Ale nic mi nie było; poparzyłem się tylko troszkę, zjadłem jakie z kilka korcy dymu, i odpocząwszy w domu, wróciłem do służby—kiedy wysłużyłem lata, dano mi uwolnienie. Ludzkiej miłości wprawdzie mi nie brakło; każdy więc radził jak umiał, ale ja nic nie mówiłem, tylko zerkałem oczami na jednę panienkę....

— Ale powiedz mi, co się zrobiło, przerwał Mateusz, z tą dziewczynką, co ją wyratowałeś?

Na to zapytanie Pawełek tylko się uśmiechnął i nic nie odrzekłszy, powstał, sztuknąwszy palcem w drzwi szklane, zawołał:

— Maryniu! a chodźno tu moje dziecko.

W téj chwili weszła do sklepiku młoda i bardzo miła kobieta, z dziecięciem przy piersi, którą wziąwszy za rękę, rzekł Pawełek:

— Oto jest ta sama dziewczynka Marynia, a dziś moja najukochańsza małżonka. Wprawdzie miałem dużo kłopotu z mojém kochaniem, bo to córka urzędnika i w Banku miała z emerytury ojcowskiej złożone dla siebie złp. 1000; ale jak wdał się mój dowódzca, jak zaczęli wszyscy trąbić, żem poczciwy chłopak, że Marynię szczerze kocham, jak do tego westchnąłem do Maryni raz i drugi, tak brzdęk! nie było co robić, i Marysia została panią Pawłową. Założyliśmy sobie mały handelek; ja trudnię się stolarstwem—

wszyscy znajomi u nas biorą, bo wiedzą, że ich nie oszukamy, i żyjemy jak możemy, chwaląc Boga, kochając ludzi, i kochając się między sobą. Szkoda, żeś nie poszedł mój Mateuszu za moim przykładem — ale co tam, i dziś jeszcze można wszystko naprawić, bo na dobre nigdy nie jest zapóźno. Więc kłopoty zostawmy na późniéj, a teraz jako dawnego kolegę, proszę cię do mego pomieszkania, bo dziś odbyliśmy chrzest naszéj Jadwini, któréj daliśmy imie jak babce. Znajdziesz tam wszystkich dla siebie życzliwych, tylko musisz wziąć inne na siebie moje ubranie, bo wstydby było tak obszarpanie przedstawiać się dawnemu strażakowi.

Kiedy nowo poznani koledzy weszli do obocznej małéj izdebki, Pawełek pokazując na parę osób zgromadzonych, mówił:

— To jest moja siostra Zosia, a dziś pani Józefowa; nie tak smagła i nie tak ładna jak dawniej, ale zawsze z poczciwém sercem i z pięknemi oczętami. To jest mój szwagier Józef majster kunsztu krawieckiego. To znowu ich mały chłopiec Pawełek, taki sam zbereźnik, jak jego tatuś chrzestny; to drugi egzemplarz mała Zosia; to pani Michałowa właścicielka magazynu, wiecznie wzdychająca do pana Jana, a to znowu pan Jan, który nie mogąc dotąd upatrzyć jeszcze dla siebie żony, bo wszędzie spotykał zdradę, postanowił wybrać z naszych dziewuch, tylko jeszcze nie wie, czy Zosię Józefów, czy naszą małą Jadzię. To zaś nasza kochana poczciwa matka, dla któréj szczęścia wszyscy żyjemy i prosimy Boga, aby nam ją przy życiu jak najdłużej zachował.

Przy tych słowach cała rodzina otoczyła z uszanowaniem poważną matronę, która położywszy ręce na wieńcu głów i główek dokoła ją okalających, błogosławiła dzieciom i wnukom, dziękując myślą Bogu, że jéj takiej pociechy pozwolił doczekać.

Byłato scena bardzo rozrzewniająca; nawet Mateuszowi łzy się zakręciły, a pan Jan już dziś zupełny prawie starzec, ale wyświeżony i wyelegantowany jak za młodości, pragnąc zapewne ukryć wzruszenie, przysunął się do małej Jadzi i zaczął ją gładzić po buziaku. Zobaczywszy to Pawełek, uśmiechnął się i szepnął Maryni swéj i matce:

— Pan Jan widzę namyślił się do naszej Jadzi—mamy więc zięcia.

— Pan Jan usłyszał to, uśmiechnął się więc łagodnie, pogroził palcami i rzuciwszy przelotne po kobietach spojrzenie, poprawił kołnierzyków z pewną zalotnością, spoglądając na panią Michałową.

Historya Warszawy.

VII. *Warszawa za Władysława* IV. *od r.* 1632, *do r.* 1648.

(Dalszy ciąg, patrz nr. Cz. 48.)

Po królu Zygmuncie III nastąpił syn jego Władysław IV. Warszawa za panowania tego króla rosła w zamożność i okazałość, szczególniéj przedmieścia roszerzały się i upiększały.

Ustawa sejmowa wyrzekła, iż wszyscy mieszczanie we wszystkich sprawach do władzy magistratu należą.

Urządzenia co do żydów, za poprzednich królów wydawane, utrzymano i powtórzono, zabraniając im pobytu i trudnienia się handlem w mieście i poza miastem w obrębie mil dwóch, wyjąwszy czas sejmów.

Mnożyły się w Warszawie publiczne zakłady i fundacye duchowne—do 17 kościołów już dotąd istniejących, przybyły za tego króla następujące:

Pijarzy na Długiéj ulicy.
Karmelici na Krakowskiem-Przedmieściu.
Franciszkanie.
Kościół Sgo Benona na Nowem-mieście.
Kościół z klasztorem Wizytek (drewniany).

Sgo Kazimierza Siostr miłosierdzia i szpital na Tamce, pod wezwaniem tegoż świętego, pod zarząd wspomnionych zakonnic oddany, przez Maryę Ludwikę królowę założony, a na dom ogólny do przyjmowania Siostr miłosierdzia dla całego kraju przeznaczony.

Nadto za panowania tego króla, przy gościńcu z Długiéj ulicy wychodzącym (gdzie dziś arsenał), wzniesiono kościół Séj Trójcy i w nim osadzono Brygidki. Stojący obok tego kościoła szpital wojskowy, przez Stefana Batorego króla urządzony, Władysław IV na zbrojownię obrócić polecił.

Monarcha ten przyłożył się wielce do ozdoby stolicy swojéj. Zamek królewski utrzymał w takiéj wspaniałości, jaką mu nadał ojciec Zygmunt III, urządzając przytem wewnątrz teatr miejsco-

wy. Letni pałac królewski w Ujazdowie bogato odnowić polecił, a nadto wzniósł dla siebie trzecie jeszcze królewskie mieszkanie na Krakowskiem-Przedmieściu, później pałacem Kazimierowskim nazwane.

Za przykładem pałaców dworskich przybywały i gmachy prywatne wielkiéj okazałości i przepychu, np. na Krakowskiem Przedmieściu, gdzie dziś dom Towarzystwa Dobroczynności, wznosił się pałac Kazanowskich, na kilka piętrer pod miedzianym dachem, z wieżami nakształt zamku, obwiedziony murem i okopem, z obszernym i pięknym ogrodem od Wisły.

Daléj poważny dwór murowany Hetmana Koniecpolskiego, późniéj Radziwiłłów (dziś pałac Namiestnika), a daléj jeszcze pałace Radziejowskiego, Denhoffa.

W innych częściach miasta znowu wspaniałemi były pałac Jerzego Ossolińskiego kanclerza koronnego na ulicy Reformackiéj (teraz Mniszchowski przy ulicy Senatorskiéj, gdzie Resursa).

Dwór *Daniłowicza* (dziś własność hr. Aleksandry Potockiej przy ulicy Danielewiczowskiéj, Biblioteką Załuskich nazywany), o czterech piętrach, ozdobiony kolumnami, murem obwiedziony, z posągami na każdym słupie, a przy nim piękny ogród ze szpalerem i t. p.

Swietność téj stolicy pomnożoną została teraz za panowania Władysława IV koronacyą małżonki jego Cecylii Renaty, w dniu 13 września r. 1637 dopełnionéj. Cecylia Renata była pierwszą królową Polską, nie w Krakowie koronowaną.

Adam Jarzemski muzyk i budowniczy Władysława IV opisał nam Warszawę w r. 1643 i nie może się nadziwić jéj okazałości. Od niego to dowiadujemy się, że nowy-Swiat dzisiejszy, nazwany wówczas *ulicą do Ujazdowa*, składał się wtedy jeszcze z pol ornych i folwarcznych, należących do gruntów starościńskich, miejskich i szpitalnych—że gdzie dziś Nowolipie, były ogromne piaski, na których na drodze ku miastu wznosić się zaczęły gmachy i ogrody—że na Długiéj ulicy pełno było zajezdnych domów, i tu spotykamy pierwszą wzmiankę o tego rodzaju domach w Warszawie. Na téj ulicy również stała giełda murowana, gdzie posłowie cudzoziemscy zajeżdżać byli zwykli.

Tam, gdzie dziś Nalewki, były jeszcze puste grunta do rodziny Parysów należące. Budynki ówczesne wszystkie prawie były drewniane, np. na Nowém-Mieście murowanych domów było w wtedy tylko 2; co nie było skutkiem ubóstwa kraju, ale tego przekonania, że mieszkania drewniane są zdrowsze od murowanych.

Rzemiosła i handel wzrastały w Warszawie, mianowicie ręczne kobiece roboty i hafty warszawskie były słynnemi.

W tym czasie były w Warszawie już 2 drukarnie—w zamku królewskim istniał ciągły teatr, ulubiona zabawa monarchy.

Znana dziś każdemu *kolumna króla Zygmunta*, również w tym czasie wzniesioną została; była ona pierwszym publicznym pomnikiem, dla uczczenia pamięci ojca przez Władysława króla wzniesionym.

Jeszcze w Sierpniu 1643 r. król zakupił i znieść kazał domy za bramą Krakowską, w tem miejscu, gdzie teraz kolumna stojące i kolumnę z jednej sztuki marmuru Chęcińskiego wodą sprowadził, a na szczycie posąg spiżowy w ogniu grubo złocony następnego roku wystawić polecił. Pomnik ten odlewany przez miejscowego gisera nadwornego królewskiego Daniela Thym, składa się z kolumny 26 stóp długiej, i statui 11 stóp wysokiej. Przedstawia on Zygmunta III w zbroi, z koroną na głowie i w płaszczu koronacyjnym; w prawéj ręce trzyma pałasz zakrzywiony, w której krzyż od całej osoby dłuższy.

W końcu za panowania tego króla wzrosła obok Warszawy nowa osada *Praga*, własność biskupów Kamienieckich. Michał Działyński biskup, 1648 r. wsi Pradze prawa miasta wyjednał, do której mieszkańcy tłumami się przenosili, z przyczyny większego handlu i taniości targu. Były tu wielkie ulice, słodownie, browary, a nawet szlachta tu osiadała. Z drugiej strony Warszawy przybyło miasteczko Leszno, tegoż roku przez Jana Leszczyńskiego kanclerza w. koronnego i Bogusława Generała Wielkopolskiego założone, i osobnem prawem, z ujmą stolicy obdarzone.

Klęski, jakie dotknęły w owym czasie Warszawę były: straszny wylew Wisły tak, że na Pradze tylko dachy domów widziano, a na 4 mile ku Radzyminowi woda wioski zalała; drugi wylew Wisły w lat 12 potem, oraz ciężki głód szarańczą spowodowany.

Kilka rysów z życia Maryi Leszczyńskiéj.

—

1. Ze wszystkich cnót, jakie zdobiły Marję, córkę króla Leszczyńskiego, najwięcej podziwiano jéj nieograniczone miłosierdzie dla biednych. Jednej niedzieli (było to w czasie pobytu jéj ojca w księstwie Dwumostów); przechadzając się po domowym ogrodzie w Wejssenburgu, posłyszała jęk żałosny zpoza muru. Zbliżywszy się do niego, ujrzała starą i wychudłą żebraczkę, która wyciągnęła do niéj drżącą rękę, prosząc o wsparcie. Wzruszona jéj nędzą rzuciła ostatnią sztukę złota, którą miała przy sobie. „Niech cię Bóg błogosławi moja księżniczko! zawołała radośnie, wznosząc ręce ku niebu żebraczka; doczekam, że będziesz królową Francuzką!“ Zdarzyło się to wówczas, kiedy nie było jeszcze mowy o ożenieniu Ludwika XV z kim innym jak z Infantką hiszpańską.

2. Taż Leszczyńska będąc już królową Francuzką, okazywała się nader uprzejmą dla każdego ze swych poddanych bez względu na stan jego. Pewnego dnia zastąpiła jéj drogę w pokojach Wersalskich wieśniaczka i rzekła: „Najjaśniejsza królowo! przybywam zdaleka, pozwól niech ci się napatrzę.

„Dobrze moja matko, odpowiedziała Marja; i zatrzymawszy się dla niéj z całym orszakiem dworzan, zaczęła ją badać szczegółowo, zkąd jest, i jak się jéj powodzi?— poczem zapytała: a cóż, czy macie już dosyć? czy mogę się oddalić? Wieśniaczka odstąpiła, roniąc łzy radości i błogosławiąc niebo za tak dobrą królowę.

3. Gdy raz odwiedziła swoję damę pałacową Margrabinę de Buffler (Boufflers) złożoną chorobą, rzekła jéj Margrabina: „Jakże mi przykro, że Wasza Królewska-Mość fatygujesz się do mnie tak wysoko i po tak niegodziwych schodach.“ „Czyż nie wiesz? odpowiedziała jéj Marja, że dla mnie każde schody dobre, kiedy odwiedzam tych, których kocham.“

4. Marja nie lubiła udzielać protekcyi ubiegającym się o urzędy. Jedna z dam dworskich prosiła ją raz o słówko ze swym krewnym starającym się o jakieś zyskowne miejsce. Z całego serca przychyliłabym się do twéj prośby, odpowiedziała jéj Marja, gdybyś mnie przekonała, że przyjaźń ma prawo do nagrody, jaka się należy zasłudze. Z tego też powodu Ludwik XV przy każdem zawakowaniu korzystniejszego urzędu, zwykł był mawiać: Przewiduję, że mnie wszyscy będą dręczyć o tę posadę, prócz jednéj królowéj.

5. Jak była oszczędną dla siebie, tak niewyczerpanego miłosierdzia dla ubogich—rozdawała jałmużny w najrozmaitszy sposób. Dary jéj w gotówce dochodziły do 2000 talarów na raz; posyłała i żywność mianowicie klasztorom, rozdawała odzież i bieliznę. Utrzymywała u siebie prawdziwy magazyn potrzeb dla ubogich, poczynając od pieluch, aż do szat pośmiertnych. Odzież tę wykonywano pod jéj okiem, a do niektórych własnéj przykładała ręki. Jedne rzeczy rozdawała sama, drugie przez pośrednictwo Szaretek. Wywiadywała się tajemnie o potrzebach ubogich rodzin wstydzących się żebrać. Miała u siebie i aptekę powierzoną staraniom zaufanéj zakonnicy. Ile razy zdarzył się jaki wypadek w zamku, ile razy jaki robotnik okaleczał, zanoszono go zaraz do jéj komnat, gdzie zawsze znajdowano wszystko, co było potrzeba do ratunku. W nagłych przypadkach i w nieobecności lekarza, sama zajmowała się opatrywaniem.

6. Marja więcéj rozdawała na jałmużny, aniżeli miała dochodów, bo całe domowe jéj kółko, musiało się przyczyniać do jéj miłosiernych uczynków. Kiedy raz proszono młodego Delfina (1) o pieniądze na cel dobroczynny: Dałbym, odpowiedział, ale nie mam ani grosza; mama zabrała mi wszystko. U ojca Stanisława Leszczyńskiego wyrobiła sobie roczną pensyę na ubogich. Gdy jéj zabrakło pieniędzy, pożyczała u drugich, i zdarzało, się że była dłużną do 300,000 franków (2). Raz sprzedała wszystkie swoje klejnoty, a na miejsce prawdziwych kamieni, oprawić kazała fałszywe. Przez cały rok nikt nie domyślił się tego fortelu i byłby się ukrył do końca jéj życia, gdyby jedna z jej służebnych nie zdradziła tajemnicy.

7. Marja odziedziczyła znaczne dobra w Polsce po matce. Sprzedała je za pozwoleniem ojca i uzyskany fundusz obróciła po większéj części na fundacyą Misyonarzy w Polsce, oraz na drukowanie dzieł pobożnych dla ludu.

(1) Następca tronu.
(2) Frank pieniądz wartości złp. 1 gro. 18 czyli 24 kop.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować. Warszawa dnia 2 (14) grudnia 1857 r.— Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*